



PIEKNY
kryminalista

PIĘKNI GANGSTERZY #2

J.T. GEISSINGER



Tytuł oryginału

Cruel Paradise

Copyright © 2020 by J. T. Geissinger

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Korekta:

Kinga Jaźwińska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-787-1

J. T. GEISSINGER

PIĘKNY KRYMINALISTA

PIĘKNI GANGSTERZY #2

**TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA**

OŚWIĘCIM 2022

Dla Jay, mojej współniczki w zbrodni.

Smutniejszej bowiem los jeszcze nie zdarzył,
Jak ta historia Romea i Julii.

Romeo i Julia, akt piąty, scena trzecia, przekład Józef Paszkowski.

Rozdział 1

Jules

– To dosłownie najgorszy pomysł, na jaki wpadłaś – wypalam.

– Moim zdaniem jest genialny – prycha Fin, patrząc na mnie z zacisniętymi ustami i rękami skrzyżowanymi na piersi w geście dezaprobaty, podczas gdy ja niezdarnie mozolę się przy zamku.

– No tak, ale jako dziecko mocno uderzyłaś się w głowę – podsumowuję, przewracając oczami.

– Uciszysz się w końcu? Już prawie jestem...

– W więzieniu? Za kratami? Bo za dziesięć sekund sama zadzwonię po gliny. Guzik się znasz na włamaniach i rabunku. Zwłaszcza na włamaniach. Zejdę tu ze starości, zanim rozgryziesz ten zamek. – Wzdycham zirytowana.

Moja najlepsza przyjaciółka ma metr osiemdziesiąt wzrostu, blond włosy sięgające niemal pasa i figurę, na widok której faceci stają jak wryci. Jest równie ładna, co niecierpliwa. Jest też zabawna, ma cięty dowcip, no i zna się na złodziejstwie. Właśnie dlatego zabrałam ją dziś ze sobą.

Przy kradzieży dwóch tysięcy paczek pieluch dobrze mieć zaufaną współniczkę.

Choćby dla wsparcia moralnego.

Nie, żeby Fin mnie wspierała.

– Kochana, jesteś beznadziejna. – Wzdycha. – Widziałam sprawniejszych meneli.

– Zamknijże się choć na chwilę, bo nie mogę się skupić!

Zerka na zegarek, naciska tarczę, która oświetla jej twarz, i zaczyna niecierpliwie odliczać:

– Dziesięć. Dziewięć. Osiem. Siedem.

– Przecież to zasrana kłódka, a ja mam pieprzoną spinkę do włosów, odpuść mi trochę!

– Żadnych wymówek. Sama otworzyłabym to rok temu. Sześć. Pięć. Cztery. Trzy – kontynuuje.

Daję za wygraną, wstaję i patrzę na nią z ukosa, wiedząc, że na szczęście tego nie dostrzeże, bo wokół nas panuje mrok

– Niech będzie, wygrałaś, dyktatorko.

Fin zsuwa plecak z ramienia, otwiera go, wyciąga ze środka obcęgi do metalu i wręcza mi je z szerokim uśmiechem.

– Dasz radę samodzielnie przeciąć łańcuch, księżniczko, czy i do tego potrzebujesz pomocy?

– Przypomnij mi, żebym w domu dołała ci do szamponu środka na wypadanie włosów.

Wracam do majstrowania przy zamku. Obcęgi bez trudu przegryzają się przez ogniwa łańcucha, który spada na ziemię, ciągnąc za sobą kłódkę.

Fin wyciąga rękę, więc oddaję jej narzędzie. Chowa je do plecaka i otwiera szeroko drzwi magazynu. Bezszelestnie wślizgujemy się do środka, pozwalamy wzrokowi przywyknąć do mroku, a potem lokalizujemy to, po co przyszliśmy.

Wyładowana po brzegi furgonetka dostawcza gotowa do zaplanowanego na jutro kursu do centrum dystrybucji stoi przy przeciwnym końcu rampy załadowniczej.

Zmierzamy ku niej szybkim krokiem, a odgłosy naszych stóp odbijają się echem od belek pod wysokim sufitem.

– Na pewno ją odpalisz? – pytam.

– Jak śmiesz wątpić – fuka.

– Jesteś pewna, że Max wyłączyła kamery i cichy alarm?

Nie patrzę na Fin, ale przyrzekam, że w tej chwili przewraca oczami.

– Tak, babciu. Jestem wręcz przekonana. Powinnam wmusić w ciebie tabletkę xanaxu przed wyjściem.

- Wtedy nie mogłabym prowadzić.
- Rozczaruję cię, ale to ja prowadzę – prycha niezadowolona i przyspiesza.
- Radzisz sobie za kółkiem mniej więcej tak samo jak w kuchni. Ja prowadzę – syczę, kładąc nacisk na „ja”.
- Proszę o wybaczenie, szanowna Magdo Gessler, ale nie wszyscy urodzili się z genami do gotowania.
- Nie ma czegoś takiego jak geny odpowiadające za gotowanie.
- Oczywiście, że takie geny istnieją! Jesteś Włoszką. Masz gotowanie zapisane w DNA.
- Ha! Może gdybyś spróbowała podgrzewać jedzenie na kuchence, a nie lampą lutowniczą, szłoby ci trochę lepiej.
- Fin wykonuje lekceważący gest dłonią, czym kończy dyskusję. Nie znosi, gdy ktoś jej wypomina, że podpaliła kuchnię, bo pichciła z użyciem narzędzi spawalniczych.
- Niestety nie wszystko idzie zgodnie z planem, bo po dotarciu do furgonetki okazuje się, że jest zamknięta. Fin rozwiązuje ten problem, rozbijając obcęgami szybę po stronie kierowcy. Następnie pospiesznie wdrapujemy się do szoferki.
- Odpalenie auta za pomocą przewodów zajmuje jej pięć sekund.
- Gdy silnik ożywa z głośnym rykiem i przyjemnym czknięciem z rury wydechowej, krzyczę:
 - Czekaj!
 - Co jest?! – pyta zdumiona, patrząc na mnie.
 - To ja miałam prowadzić.
 - Szkoda, jakże mi przykro, ale kto pierwszy ten lepszy.
 - To przysłowie tu nie pasuje.
 - Jak to nie? Mój tyłek był pierwszy na siedzeniu kierowcy – odpowiada z uśmiechem. – A poza tym ktoś musi zwinąć ten... – Zawiesza głos, po czym wzdycha: – Och...
 - Na dźwięk jej zdołowanego tonu przechodzi mnie dreszcz.
 - Och? Co za och?

– Takie och – odpowiada, wskazując na przednią szybę, za którą widać ciężkie, mechaniczne wrota i ciężarówki wyjeżdżające przez nie spod rampy załadowniczej.

To, że są zamknięte, nie stanowi problemu. Problemem są wielkie stalowe zamki zakotwiczone w betonowej podłodze. Spoglądam na nie osłupiała.

– Cholera!

– Dobrze powiedziane, Szekspirze – komentuje cierpko.

– Myślałam, że Max zajęła się zabezpieczeniami.

– Te zamki muszą być nowiutkie, bo drzwi miały się dać otworzyć ręcznie po wyłączeniu systemu bezpieczeństwa.

– No to co robimy? Obcęgi nie poradzą sobie z tak grubym metalem.

– Modlimy się o cud? – pyta Fin po kilku chwilach intensywnego wpatrywania się we wrota.

– Modlimy?! – powtarzam, wyrzucając ręce w górę. – Przystępczy geniusze w tarapatach nie zwracają się do niebiańskich istot! Mają plan B! – Zawieszam na chwilę głos. – Jaki mamy plan B?

– Żadnego – odpowiada i ma choć na tyle przyzwoitości, by zrobić minę wyrażającą skruchę.

– Znowu? – jęczę. – Jesteśmy koszmarnymi włamywaczkami!

– Wcale nie jesteśmy takie złe – broni się, po czym burczy pod nosem: – Ja przynajmniej umiem odpalić auto bez kluczyka.

Przez kilka sekund wpatruję się we wrota sfrustrowana, po czym oświadczam:

– Walić to. Będziemy improwizowały.

– Improwizowały? – parska. – Gdy ostatni raz wypowiedziałś to słowo, skończyłam... wisząc z okna szóstego piętra hotelu.

– Przeżyłaś.

– Pamiętasz, że hotel płonął? A ja byłam naga?

– Tylko parter – zbywam ją. – Gaz do dechy. Prawdopodobnie się przebijemy.

- Prawdopodobnie? – pyta, patrząc na mnie i unosząc brwi.
Kiwam głową, staram się wyglądać pewnie i przekonująco.
- To porządna fura, ma pod maską prawie pięćset koni. Da radę... Albo zginiemy w wielkiej eksplozji – dodaję po chwili namysłu. – Tak czy siak, będzie zajebiście.
- Fin patrzy na mnie, jakby wyrosły mi rogi.
- I właśnie dlatego jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, Thelmo – mówi z szerokim uśmiechem.
- Ja ciebie też kocham, Louise – odpowiadam równie wesoło.
Wciska pedał gazu do dechy.
- Furgonetka zrywa się naprzód, diesel zawodzi, a opony dymią.
Pędzimy na złamanie karku ku metalowym wrotom i drzemymy się ile sił płucach.

Rozdział 2

Killian

Kolejny raz oglądam nagranie z ulicznego monitoringu i wciąż jestem zafascynowany. Przewijałem je do początku już tyle razy, że Declan zaczyna się niecierpliwie wiercić.

Podnoszę na niego wzrok i dostrzegam, że stoi, opierając się rękoma o moje biurko. Mężczyzna ma prawie metr dziewięćdziesiąt, bary jak u futbolowego obrońcy i oczy o barwie wiecznie skutego lodem, arktycznego jeziora. W dodatku jest zabójczo silny, dosłownie.

– Pieluchy.

– Ano. – Wzrusza ramionami, jakby też nic z tego nie rozumiał.

– Jacy złodzieje kradną furgonetkę pełną pieluch, ale nie tykają zainstalowanego w niej schowka z trzystoma kawałkami w gotówce?

– Chyba muszą mieć skłonności samobójcze.

Ponownie odpalam wideo od początku, a gdy ciężarówka przebija się z pełną prędkością przez stalową bramę, znowu kręcę głową z niedowierzaniem.

Mam wrażenie, że patrzę na scenę z jakiegoś filmu akcji.

Nagranie jest nieme, ale wyobrażam sobie ogłuszający łoskot metalu łupiącego w metal. Najpierw masywna brama się wygina, odkształcając w samym środku. A potem jej górna krawędź odrywa się od muru i upada na ziemię pośród iskier i kłębow dymu.

Dolna krawędź nadal jest przynitowana do betonu, przez co furgonetka wystrzeliwuje w powietrze i przelatuje nad stertą pogiętego metalu.

Po lądowaniu szaleńczo szarpie nią w bok. Wygląda, jakby lada moment miała się przewrócić, ale kierowca odzyskał kontrolę, całkiem niezłe opanował pojazd i szybko umknął z pustego parkingu, znikając z obiektywu kamery.

– Monitoring w magazynie został uszkodzony. To nagranie mam dzięki firmie odzieżowej po drugiej stronie ulicy. Włamałiśmy się do ich systemu, żeby sprawdzić, czy ich kamery coś złapały, i oto jest. Niestety, to jedyny zarejestrowany obraz złodzieja pieluch.

– Jakies odciski?

– Nie. Musieli założyć rękawiczki.

Rozpieram się w obszernym fotelu i zastanawiam, który z moich wrogów okazał się tak głupi i nierozważny, by porwać się na tę dziwną kradzież.

Pieluchy. O co chodzi, do cholery?

Jesteśmy w gabinecie, w apartamencie Liama. Poprawka, jesteśmy w MOIM apartamencie. Minął rok, a ja wciąż czuję się tu obco. To pewnie dlatego, że mój bliźniak ma taki sam gust jak hrabia Dracula, jeżeli chodzi o wystrój wnętrza.

Wszystko jest czarne. Połyskliwe, zimne i cholernie czarne. Jakbym mieszkał w wyjątkowo nowoczesnej trumnie.

Niestety, jeżeli kogoś udajesz, to musisz zatrzymać jego pozabawione polotu ubrania, dzieła sztuki i meble.

Nie drażąc, po co w ogóle mojemu bratu wytwórnia pieluch, pytam:

– Ile jest warta taka furgonetka z pieluchami?

– Z dziewięćdziesiąt koła – odpowiada Declan, podnosząc muskularną rękę.

– Więc w zasadzie szkoda zachodu.

– Zgadzam się.

– Zwłaszcza jeśli dodamy, że czarny rynek pieluch nie jest szczególnie prężny. Jak ten złodziej chce to spieniężyć? Na wyprzedazach garażowych? Na eBayu?

– Może ma dużo dzieci.

Muszę przyznać, że lubię ironicznie poczucie humoru Declana. Natomiast spokojnie obszedłbym się bez reszty jego osobowości.

– Pal sześć pieluchy, martwi mnie, że zhakowali nasz system ochrony. Ktoś tam ma głowę na karku, choć raczej nie ten kierowca.

– Jeżeli uważasz, że obrobiła nas jakaś zorganizowana ekipa, to raczej nie są stąd. Miejscowi wiedzą, że fabryka należy do Liama. – Zawiesza głos. – Do ciebie, przepraszam, Killian.

Macham lekceważąco ręką, bo przywykłem, że ludzie nazywają mnie teraz imieniem brata.

– Spróbuj się czegoś dowiedzieć. Ale po cichu.

– Nie wolisz, żebym zadzwonił na posterunek do O'Malleya i mu to zlecił?

– Nie. Nie życzę sobie, by rozeszła się wieść, że ktoś zwinął dwa tysiące pieluch spod samego nosa szefa irlandzkiej mafii. Muszę dbać o reputację.

Declan poważnieje i kiwa głową.

– Oczywiście, ani byś się obejrzał, a staruszki zaczęłyby obrabiać twoje spożywczaiki, żeby mieć za co puszczać totka, a harcerki wypowiedziałyby ci wojnę o terytorium.

Chciałem powiedzieć, żeby spieprzał, ale przemądrzały dupek sam zdążył obrócić się na pięcie i odejść.

* * *

Prawie udało mi się zapomnieć o skradzionych pieluchach, ale o osiemnastej przypomniał mi o nich Declan, wkraczając do mojego gabinetu.

Siedzę w tym samym fotelu co wcześniej. Na mahoniowym biurku znajdującym się przede mną piętrzą się stosy raportów, oświadczeń i umów wymagających mojego podpisu.

Gdybym wiedział, że zarządzanie międzynarodowym imperium przestępczym niesie ze sobą tyle papierkowej roboty, to chyba nie zgłosiłbym się na ochotnika do tej fuchy. Nie wspominając o problemach kadrowych. Można by pomyśleć, że dorośli mężczyźni nie potrzebują stałego nadzoru. A jednak, czasami mam wrażenie, że prowadzę przedszkole.

Podnoszę wzrok i widzę zbliżającego się Declana. Niesie laptopa i ma poważną minę, ale w jego oczach lśnią łobuzerskie iskry.

Wskazuję na krzesło po drugiej stronie biurka, dając mu do zrozumienia, by usiadł.

Kiedy już może się wygodnie, zaczyna z namaszczeniem stuknąć palcami w klapę leżącego na swoich kolanach Maca.

– Wierzysz w astrologię?

– Naturalnie, podobnie jak w wielką stopę – odpowiadam oschle.

– Wielka stopa może istnieć. Widziałem raz w telewizji taki program...

– Declan.

– Przepraszam. O czym to ja mówiłem?

– O tym, że prosisz się, by zebrać po mordzie.

– A, racja, astrologia... – Przerzywa i patrzy na mnie wymownie. – Mamy retrogradację Merkurego.

Patrzę na niego spokojnie z neutralnym wyrazem twarzy.

– Zakładam, że wiesz, że mam skrajnie wybuchowy temperament i sporą kolekcję broni, w tym kilka eksponatów w zasięgu ręki.

– Merkury bywa nieznośny – kontynuuje, kompletnie mnie ignorując. – Zwłaszcza podczas retrogradacji. Wszystko się wtedy pierdoli. Komputery się zawieszają, linie lotnicze odwołują loty, prują się dopięte na ostatni guzik umowy. – Wykonuje kolejną, pełną namysłu pauzę. – Wszystko idzie na opak.

– Masz trzy sekundy, żeby wyjaśnić, do czego zmierzasz, bo wsadzę ci kulę między oczy.

– Co jest przeciwieństwem faceta kradnącego furgonetkę pełną pieluch? – pyta z uśmiechem.

Szczerze mówiąc, gdyby nie to, że Liam go tak lubi, Declan właśnie wykrwawiałby się na moim tureckim dywanie.

– Kobieta kradnąca furgonetkę pełną pieluch – oświadcza, zanim ziścił się mój plan podziurawienia go kulami.

Daję sobie chwilę, żeby wyczuć, czy nie żartuje.

– Kobieta?

Kiwa głową z ogromnym samozadowoleniem.

– I to nie jedna.

Nie kontynuuje, więc postanawiam zabrać głos.

– Jeżeli doprecyzowanie, ile kobiet podjechało mi cholerną furgonetkę z pieluchami, zajmie ci więcej niż jedno słowo, to naprawdę odstrzelę ci łeb.

– Dwie.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy.

– Lubisz mnie drażnić, prawda? – pytam w końcu.

– Ano – odpowiada, wzruszając ramionami. – Ale nie bierz tego do siebie. Po prostu lubię wsadzać kij w mrowisko.

– Ale ze mnie szczęściarz... – odpowiadam oschle.

– Liam przyzwyczajał się do mnie jakieś dziesięć lat, także tego... – stwierdza i ponownie wzrusza ramionami.

– Declan, drobna rada. Mój brat zagarnął prawie całą cierpliwość przyznaną naszej rodzinie. Mnie zostało bardzo niewiele, dlatego proszę, nie nadużywaj jej.

Robi dziwną minę i kręci głową.

– Chcesz, żeby ludzie tak myśleli. A z tego, co widzę, jesteś ekstremalnie metodyczny i dokładny. Gdy już musisz kogoś zabić, to bardzo długo to planujesz.

Mam ochotę głośno westchnąć, ale zamiast tego rozpieram się w fotelu, składam ręce na brzuchu i patrzę na niego.

– W porządku, po twoim spojrzeniu wnioskuje, że już obmyśliłeś, jak mnie zabijesz, więc gdy następnym razem cię zirytuję, to gdzieś zawisnę – odzywa się po dłuższej chwili.

– Na pętli z własnych jelit.

Krzywi się na te słowa.

– Wow, czyli odegrasz na mnie Hannibala Lectera.

Pozwalam, by moje usta wygięły się w minimalny uśmiech.

– Ano. A kilka minut później założę maskę zrobioną z twojej twarzy. Opowiadaj o tych kobietach.

Declan stęka niechętnie, nachyla się, kładzie laptopa na biurku i otwiera klapę. Przez chwilę stuka w klawiaturę, po czym obraca komputer ekranem w moją stronę.

Widzę zbliżenie na furgonetkę dostawczą. Ujęcie od przodu. Jest ziarniste, ale przez przednią szybę da się dostrzec kierowcę i pasażera.

Za kierownicą siedzi blondynka, a obok niej brunetka. Nie patrzą przez szybę, ale na siebie.

Patrzą się na siebie i się śmieją.

Jak wariatki.

Zerkam na Declana. Unosi ręce w geście mówiącym: „też nie mam bladego pojęcia”.

Ponownie skupiam uwagę na monitorze. Trudno rozróżnić szczegóły ich twarzy, ale widać, że obie są młode.

A sądząc po gromkim śmiechu, pewnie nieźle naćpane.

– Więc to one ukradły pieluchy.

– Ano.

– Rozpoznajesz którąś?

– Nie. Moja baza danych też nie rozpoznała ich twarzy, choć może to przez zły kąt ujęcia. Wciśnij strzałkę w prawo.

Wciskam i pojawia się kolejne zdjęcie. Widzę tę samą furgonetkę, ale od tyłu. Stoi na środku jakiegoś trawiastego pola, ma opuszczoną rampę i szeroko otwarte tylnie drzwi.

Jest pusta w środku.

– Wyładowały ładunek na wsi, jakieś pół godziny drogi od miasta, i porzuciły furgonetkę – informuje mnie Declan. – Ślady opon na tym polu wskazują, że w akcję zaangażowanych było kilka mniejszych pojazdów.

Nie muszę pytać, skąd ma te informacje, bo doskonale wiem, że wyszedł naszą furgonetkę, włamując się do kamery przy światłach drogowych w pobliżu magazynu, mam natomiast inne pytanie:

– I dokąd pojechały te mniejsze pojazdy?

– Nie mam pojęcia.

Patrzę na niego zaskoczony.

– Odcięły sygnał wszystkich kamer w promieniu mili od tego pola – dodaje z nutą podziwu w głosie, co natychmiast mnie przygotowuje.

– Więc włam się do jakiejś satelity i dowiedz się, gdzie pojechały.

Declan mruga zdeorientowany.

Chyba sam będę musiał się z tym uporać.

– Dobra, nieważne. Nadal nie rozumiem, dlaczego pieluchy. Jeżeli chciały mnie okraść, to mogły upatrzeć sobie znacznie cenniejszą zdobycz. – Stukam palcem w podbródek, zastanawiając się nad tym, dlaczego zdecydowały się na kradzież artykułów dziecięcych.

– Zakładając, że wiedziały, że wytwórnia należy do ciebie...

Słychać piknięcie jego komórki. Wyciąga ją z kieszeni, odczytuje wiadomość i marszczy czoło.

– Co jest? – pytam.

Zamiast mi odpowiedzieć, wstaje i podchodzi do stolika kawowego stojącego przy kanapie po drugiej stronie gabinetu. Podnosi pilota do telewizora i naciska guzik, po czym włącza się program lokalnej stacji informacyjnej.

Uradowana prezenterka, która szczerzy się szeroko do kamery, stoi przed jakimś budynkiem użyteczności publicznej z czerwonej cegły

– Przechodząc do pozostałych wiadomości, mamy dla państwa podnoszącą na duchu historię o ludzkiej szczodrości. Jak informowaliśmy w zeszłym miesiącu, pożar zniszczył magazyn bostońskiej siedziby Noworodków w Potrzebie. NwP to organizacja, która za darmo dostarcza niezbędne artykuły szpitalom i innym agencjom opiekującym się wcześniakami i chorymi lub ubogimi noworodkami w całych Stanach Zjednoczonych. – Kobieta robi pauzę, po czym kontynuuje:

– Wspomniany pożar był wyjątkowo druzgocący, ponieważ wybuchł w głównym ośrodku dystrybucji tych jakże potrzebnych artykułów. Lecz dziś anonimowy darczyńca przekazał organizacji aż dwa tysiące paczek pieluch. A oprócz tego kaszkę, ubranka, koce i zabawki. Nie wiemy, kim jest tajemniczy filantrop, lecz przewodnicza NwP Meryl Hopkins nazywa go aniołem. John, oddaję głos do studia.

Declan wyłącza telewizor i patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Złodziejka-filantropka? Nie kumam.

– Ja też nie. Czy Liam nie ma przypadkiem innych firm obsługujących rynek noworodków?

– Nie.

Dumam nad tym wszystkim przez chwilę, jestem na równi zdezorientowany i zaintrygowany.

Dwie złodziejki włamały się do magazynu i ukradły furgonetkę z pieluchami. Gdyby je złapali, zostałyby oskarżone o zuchwałą kradzież pierwszego stopnia i mogłyby dostać nawet trzydzieści lat odsiadki. Nieważne, że przekazały łup na cele dobroczynne.

Więc po co ryzykować?

A co z innymi artykułami? Z tymi ubrankami, jedzeniem i zabawkami? Jeżeli też pochodzą z kradzieży, to akcja z pieluchami stanowiła część operacji zorganizowanej na większą skalę. Jej zaplanowanie musiałoby trwać tygodniami albo nawet miesiącami.

Tyle trudu i zero własnej korzyści?

To nie ma sensu.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie podejmowałby takiego ryzyka, nie licząc na nagrodę. Może i złodziejkom nie zależało na pieniądzach, ale na czymś na pewno.

Bo jeśli chodzi o ludzką naturę, jednego jestem pewien. Jeżeli człowieka nie motywuje chciwość, to motywuje go coś znacznie mroczniejszego.

Na przykład władza.

Albo zemsta.

Jakże dobrze mi znane sprawy.

– Co robisz? – pyta Declan, gdy zaczynam szybko i mocno stukać w klawiaturę komputera.

– Idę zapolować.

Na monitorze wczytuje się strona internetowa Departamentu Obrony, zabieram się do dzieła.

Strzeżcie się złodziejki, bo oto nadchodzi.